

W dużym mieście na ulicach krzewy i drzewa jak bukiety (a miasto ma 1,3 mln mieszkańców). Właśnie mieszkańcy: niscy, smagli, dość krępi. Dziewczyny cud, ale panie bardzo przysadziste. Choć jak zacząć tańczyć swoje horoppo i salsę, to aż wierzyć się nie chce, że z taką wagą... Panowie... no cóż, mają piękne oczy i włosy.

Jeść nam dawali dużo i rozmaicie, np. pełną szklanekę kostek lodu zalaną rzadką zimną kaszą manną albo placek wyglądający jak szarlotka, tyle że zamiast jabłek mięso z ryby albo z żółwia. No i wszechobecna wołowina w postaci podeszwy. Także jukka pieczona, banany pieczone i różne nieznanne owoce.

Zawieziono nas do El Callao - miasta złota i callipso (taki taniec). 90% jego mieszkańców to bardzo ciemnoskórzy potomkowie z Trynidadu. Prowadzono nas na stadion przy dźwięku ogłuszających bębnow. Całe miasto wyległo i witano nas hałaśliwie na tym stadionie. A tam o mało żywcem nie zżarły nas muszki puri-puri (wielkości kropki). Czysty obłęd! Po powrocie znowu - młodzież do rodzin, które obsypały ich złotymi podarkami, a my do hotelu i sami z sobą.

Na koncert finałowy przyjechał pan ambasador, zaprosił nas - dorosłych - na kolację o 1.00 w nocy do luksusowej restauracji, po czym zostawił, bo okazało się, że nie ma pieniędzy i musi szukać bankomatu. Na szczęście my byliśmy ponad to. Humory nam dopisywały. Np. Marylka zapragnęła zjeść jajko i nijak nie mogła znaleźć go w sklepie. Zatem przy kasie odbył się swoisty spektakl. Po wyczerpaniu wszystkich znanych języków obcych i gier mimicznych, dopiero donośne „ko, ko, ko” i machanie „skrzydłami” oraz wysiętek ze stęgnięciem jak przy znoszeniu jajka, dało oczekiwany rezultat. Ja z Krzyśkiem leżałam przed sklepem ze śmiechu. A więc cóż nam pan ambasador ze swoim złym zachowaniem!

Trafiła się też miłość. Carlos zakochał się w Ewie z wzajemnością. Całowali się i przytulali, pani dyrektor festiwalu szalata z wściekłości, że to nieobyczajne. A tu po roku, proszę, Carlos przyjechał do Gorzowa i zabrał Ewę. Dziś mają już dziecko i są bardzo szczęśliwym małżeństwem. Tak to czasem egzotyczna podróż staje się dla kogoś wymarzoną życiową celem.

Mimo strachu przed chorobami i żołnierzami, mimo wołowej podeszwy, był to niezapomniany wyjazd. Nasze dzieci są tak piękne w strojach ludowych. Takie inne.

Straciliśmy, niestety, okazję zobaczenia Salto Angel - największego wodospadu świata, mimo że byliśmy o krok. Pozostały niezwykle wrażenia, a ja do dziś mam żółwia, który nosi imię Maria-Fernanda. Tak jak dyrektorka festiwalu.

Lidia Przybyłowicz

FESTIWAL W EGIPCIE – ISMAILIA, SIERPIEŃ 2000 R.

Po raz pierwszy do Afryki przez Moskwę zespół poleciał samolotem rosyjskich linii lotniczych. Być może nie byłoby w tym nic atrakcyjnego, ale już więcej nie chcę lecieć ciasnym i dusznym TU 154 E. Niechęci do rosyjskich linii lotniczych dopełniły problemy, które mieliśmy na lotnisku w Kairze i gdyby nie interwencja polskiego MSZ-tu, nie wiadomo kiedy wylecielibyśmy do kraju. Pozytywnym było to, że w drodze powrotnej musieliśmy zostać dzień w Moskwie i dzięki temu zwiedziliśmy tę wyjątkową stolicę. Rozczarowanie przeżył jeden z tancerzy, który obudził się w hotelu zbyt późno, aby pojechać z nami do centrum. Żadnymi sposobami ani my, ani etażowa nie mogliśmy go dobudzić. Spał jak kamień.

Z lotniska w Kairze odebrali nas organizatorzy. Pod silną eskortą policji tu-

rystycznej i z prywatnym ochroniarzem udaliśmy się do miasteczka studenckiego w Ismailii. Tam właśnie odbywał się festiwal, w którym brały udział zespoły z 42 krajów świata. Stała obecność wojska i policji nie byłaby tak męcząca, gdybyśmy mogli choć na chwilę wyrwać się samodzielnie. Nie pozwalano nam opuszczać miejsca zakwaterowania, a tłumaczono to względami bezpieczeństwa. Wszędzie dokądkolwiek udawaliśmy się, towarzyszyli nam ochroniarze i strzelili jak oka w głowie. Spędzając wiele godzin wspólnie z innymi „uwięzionymi” nawiązaliśmy mnóstwo ciekawych znajomości. Ze szczególnym zainteresowaniem obserwowaliśmy zespoły z krajów afrykańskich. Ich sposób życia, tańczenia, śpiewania, ubierania się. Po raz pierwszy mieliśmy okazję przyjrzeć się konfliktowi izraelsko-palestyńskiemu z punktu widzenia Palestyńczyków. Bardzo mili i ciekawi ludzie, ale tyle w nich nienawiści do Izraela, że trudno dopatrzeć się choćby cienia chęci rozwiązania problemu.

Koncerty festiwalowe odbywały się w wielu egipskich miastach. Tańczyliśmy w Ismailii, Faild, na półwyspie Synaj w Al-Arish, Kairze wszędzie wzbudzając olbrzymie zainteresowanie. Polski folklor, mało znany w konserwatywnym Egipcie, cieszył się dużym powodzeniem. Muzykę, kostiumy, dynamiczne tańce i do tego wysoki poziom wykonawczy zawsze nagradzano burzą oklasków, a niewątpliwa uroda członków zespołu znajdowała uznanie na pierwszych stronach gazet.

O karaluchach, dokuczliwych muchach, nawet braku papieru toaletowego natychmiast zapomnieliśmy, gdy stanęliśmy twarzą w twarz z Tutanchamonem w Muzeum Egipskim. Cóż za niezapomniane przeżycie zobaczyć tak wiele ze światowego dziedzictwa kultury! I te cudowne chwile rozmyślań w cieniu egipskich piramid i Sfinks! Być w miejscach owianych legendą i opisywanych przez miliony ludzi. Dreszcz mi po plecach przechodzi, gdy wspominam chwilę, w której po raz pierwszy z okien autobusu przejeżdżającego przez Nil ujrzałam sylwetki tych monumentalnych budowli. Tak, to był jeden z tych wyjazdów, które pamięta się przez całe życie.

Wszystko, co wydaje się być męczące w czasie festiwalu, z biegiem czasu blednie, a we wspomnieniach pozostają tylko te chwile, które są najlepsze i najmilsze. Z uśmiechem myślę o przyjaciółtach z Egiptu, którzy jeszcze długo potem pisywali, a patrząc na figurkę Amona stojącą na kominku, dziękując, że było mi dane być w Egipcie.

Maria Szupiluk

